

SPRAWIEDLIWYCH PORTRET ZACHODNIOPOMORSKI

Instytut Pamięci Narodowej w ramach projektu „Polacy ratujący Żydów” podejmuje działania o urozmaiconym charakterze. Oprócz publikacji artykułów i książek organizowane są wystawy, szkolenia dla nauczycieli, warsztaty dla uczniów czy wykłady otwarte dla wszystkich zainteresowanych tematyką Holokaustu. Dla historyków biorących udział w projekcie szczególne znaczenie mają udokumentowane przypadki pomocy niesionej ludności żydowskiej przez mieszkańców ziem polskich. Stąd m.in. ich aktywne uczestnictwo w działaniach mających na celu odznaczenie bohaterów medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.



Artykuł *To dla mnie ostatnia chwila*, opublikowany w marcu 2009 r. na łamach „Biuletynu Instytutu Pamięci Narodowej”¹, stał się dla mnie początkiem wielkiej przygody ze Sprawiedliwymi ze Szczecina i okolic. Gdy w redakcji trwały przygotowania do druku numeru poświęconego tym, którzy ryzykowali życie, ratując Żydów, do Polski dotarła wiadomość, że Instytut Yad Vashem przyznał Witalisowi i Łucji Łukasiewiczom – bohaterom wspomnianego tekstu – tytuł Sprawiedliwych. Podczas ceremonii w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie, 22 listopada 2009 r., medale wręczono także rodzinom pięciorga innych odważnych Polaków: Marii Karpiuk, Marii i Jana Lisowskich oraz Marii i Andrzeja Tkaczów.

Uroczystość uświetnił wernisaż wystawy zatytułowanej „Uczynki, za które nie ma zapłaty. Sprawiedliwi z Zachodniopomorskiego”. Zaprezentowano na niej historię medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata oraz sylwetki kilkunastu żyjących odznaczonych, którzy po wojnie zamieszkali na terenie obecnego województwa zachodniopomorskiego. Każdy z nich został sportretowany współcześnie, a fragmenty ich relacji zostały zilustrowane archiwalnymi fotografiami i dokumentami.

W tym czasie trwały już prace nad zebraniem materiału do publikacji stanowiącej zbiorowy portret Sprawiedliwych z regionu². Ich zwieńczeniem stała się książka zawierająca 35 niezwykłych historii – „*Jak ci się uda uratować, pamiętaj*”. *Relacje „Sprawiedliwych” i o „Sprawiedliwych” z województwa zachodniopomorskiego*.

Z zestawień statystycznych wynika, że do 2010 r. tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata uhonorowano ponad 23 tys. osób, z których ponad 6 tys. stanowią Polacy³. Statystyki milczą jednak na temat

¹ P. Knap, *To dla mnie ostatnia chwila*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2009, nr 3 (98), s. 63–65.

² Pomysł przygotowania książki wyszedł od Agnieszki Gorzycy z Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Szczecinie oraz Róży Król z Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów Oddział w Szczecinie.

³ Oficjalna witryna internetowa Instytutu Yad Vashem podaje, że 1 I 2010 r. wśród 23 226 osób odznaczonych medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata było 6195 Polaków; *Righteous Among the Nations – per Country & Ethnic Origin*, January 1, 2010 (<http://yadvashem.org>).

Sprawiedliwych, którzy po wojnie zamieszkali na terenie obecnego województwa zachodniopomorskiego. W toku kilkumiesięcznych poszukiwań udało się sporządzić listę ponad czterdziestu osób.

Podstawę źródłową omawianej książki stanowią akta wniosków o tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata złożonych w polskiej sekcji Yad Vashem, zgromadzone w archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie, oraz nagrania rozmów przeprowadzonych przez autora opracowania od lipca 2009 r. do marca 2010 r. z odznaczonymi i członkami ich rodzin. Wykorzystano również uzyskane podczas tych spotkań dokumenty – wspomnienia, korespondencję prywatną, notatki, zapiski na rewersach fotografii etc. Po co to wszystko?

Odpowiedź można znaleźć w liście Krzysztofa Bolesława Sawickiego, jednego z uratowanych z Zagłady: „Naturalny proces biologiczny wrywa z tej grupy coraz więcej osób. Nie wolno sobie pozwolić, aby choć jeden zasłużony odszedł z tego świata, nie doczekawszy się słusznej i najpiękniejszej nagrody. Każdy odznaczony człowiek w Polsce to jeszcze jeden wzór do naśladowania dla całego młodego pokolenia”⁴.

To ludzie odważni i skromni, nieszukający poklasku. Uważają, że każdy by zrobił to samo, choć na początku XXI stulecia potrzeba naprawdę wielkiej wiary w ludzi, by się z nimi zgodzić. „Trudno byłoby powiedzieć, że nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji grożących ze strony władz okupacyjnych. Zgodnie z ówczesnym prawem wyrok był tylko jeden. Nie uważam, że postępowanie moje zasługuje na szczególne wyróżnienie. Wynikało ono z obowiązku wobec bliźniego. W czasie okupacji każdy z nas był w stanie zagrożenia i wymagał pomocy”⁵ – twierdzi Remigiusz Węgrzynowicz, który we Lwowie pomógł uratować Scharlottę Katz. Był wtedy dwudziestoletnim młodzieńcem.

Zdarzało się jednak, że w pomoc Żydom wtajemniczeni byli nawet najmłodszy w rodzinie. Maria Jaeger wspomina dziewczynkę, która w 1942 r. trafiła do ich rodziny: „[...] zwierzyła mi się, że tak naprawdę, to ona nie ma na imię Halinka, tylko Bogusia. Chwilę później napisała na śniegu swoje inicjały i powiedziała, że gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, to nie tylko ona umrze, ale i my wszyscy”.

Dla wszystkich najważniejsze było ludzkie życie, w myśl wartości wynoszonych z rodzinnego domu. Jak zapamiętała Zuzanna Warchoł, „Babcia wszak zawsze powtarzała, że nie jest ważna narodowość, nie jest ważny kolor skóry, ważny jest człowiek, który potrzebuje pomocy”.

Byli jednak wystawiani na okrutne próby. Józefa Czekaj jak zły sen wspomina pierwszy dzień okupacji Kopyczynie: „Na podwórku znajdowała się studnia. Niemcy przyprowadzili ponad 20 osób pochodzenia żydowskiego, ale nie byli to ludzie miejscowi. Kazali im rozebrać się do naga, śpiewać i biegać dookoła studni. Zaćwiczyli ich batami na śmierć. Głowy wtulaliśmy w poduszki, żeby nie słyszeć ich niesamowitego krzyku. Potem przyprowadzili Żydów z naszej miejscowości, musieli kłaść trupy na wozy, a krew zbierać rękami”.

Ryzykowali wiele. Aby to ryzyko było jak najmniejsze, należało wybrać dla chronionych możliwie najlepszą kryjówkę – w domu, oborze, stajni czy stodole. „Nad naszym mieszkaniem był strych, ojciec przed wojną hodował tam gołębie. Przez ten stary gołębnik przechodził komin, którym podawaliśmy pożywienie. Mama pociągała za sznurek, aby oni spuszczała pustą bańkę, a pełną wciągali na górę. Chleb wieszali sobie na szyi, by myszy im go nie pojadały [...]. W domu stał stary fortepian. Musiałam całymi godzinami ćwiczyć, szczególnie gdy w domu byli obcy, aby nikt nie usłyszał szmerów” – relacjonuje Józefa Czekaj.



Józefa Czekaj

⁴ Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, Akta wniosków o tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata złożonych w polskiej sekcji Yad Vashem, 349/408 (Barcikowska Helena), List Krzysztofa Bolesława Sawickiego do Instytutu Yad Vashem z 10 VI 1991 r., k. 26.

⁵ Ten i kolejne cytaty pochodzą z książki *Jak ci się uda uratować, pamiętaj. Relacje „Sprawiedliwych” i o „Sprawiedliwych” z województwa zachodniopomorskiego*, wstęp i oprac. P. Knap, Szczecin 2010.



Władysław Szwed przy Ścianie Honoru w Yad Vashem

„Zwykła” kryjówka jednak nie zawsze była wystarczająca. Czasem pragnienie zachowania życia bliźniego wymagało potężnych przygotowań logistycznych, a przecież i tak nikt nie był w stanie zagwarantować sukcesu. Władysław Szwed opisał opracowany w jego rodzinnym gospodarstwie system: „Wykopu dokonaliśmy ze starszym bratem. Był to dół o wymiarach pięć na trzy metry i głębokości około czterech metrów. Nie kryliśmy się z pracą, pozorując budowę piwnicy na ziemniaki. Na przykrytym i oszalowanym schronie stanęło sklepienie i wybudowana została piwnica z wejściem do niej na zewnątrz. Do schronu właściwego prowadził tunel z niewielkiego baraku kuchni letniej. Pionowy wlot kanału przykrywano specjalną skrzynką napelnioną piaskiem tak, że po wejściu do kanału wchodzący mógł zasnąć za sobą tę skrzynkę, która zagłębiała się równo z poziomem ziemi. Z kanału pionowego, głębokiego na dwa metry, prowadził do schronu właściwego kanał poziomy o długości około sześciu metrów. Ale na tym nie koniec, to nie mogło jeszcze gwarantować bezpieczeństwa, dlatego też rozpoczęliśmy drażnienie pod ziemią drugiego schronu. Położony był on na nieco niższym poziomie, obok schronu pierwszego. Wejście do drugiego schronu zbudowane było na tych samych zasadach, z tym jednak, że otwór do niego umieszczony był w schronie pierwszym. W celu dopływu powietrza wybudowano w pierwszym schronie specjalny kanał i podłączono do piwnicy, natomiast w drugim – wydrążono poziomy kanał, który łączył się ze studnią. Budowa drugiego schronu była bardzo trudna, trzeba było bowiem pracować metodą podkopu. Prace wykonywali sami ukrywający się – przez cały dzień drażyli podkop, a ziemię wysypywali do baraku letniej kuchni. Nocą ziemię tę ładowałem na furmankę i wywoziłem w pole. Budowę drugiego schronu zakończyliśmy w ciągu trzech tygodni”.

Wiele podobnych kryjówek mogło sprawdzić się tylko tymczasowo, choćby z powodów technicznych – po kilku miesiącach amatorsko wykonane konstrukcje przeciekały i groziły zawaleniem. Ale i tak wydawały się dawać większe bezpieczeństwo, niż drażone w sianie czy zbożu tunele. Cytowany już Władysław Szwed tak opowiada o wcześniejszym wydarzeniu: „Przed bramę zajęchały dwie furmanki. Zeskoczyli z nich policjanci, było ich sześciu. Podbiegli do mnie. Ostrożnie postawiłem wiadro

z sieczką koło cebra z wodą. [...] Jeden ze stojących koło mnie zarepetował karabin i rozkazał: »Prowadź tam, gdzie są schowani Żydzi«. »U nas nie ma żadnych Żydów, nie ma« – odpowiedziałem zdecydowanie. Oni na to, że zaraz udowodnią coś wprost przeciwnego i poprowadzili mnie do stodoły. Włosy stanęły mi dęba. Zobaczyłem, że jeden z policjantów, który wszedł tu wcześniej, odnalazł kanał w słomie, a na jego skraju koc i kożuch, którymi okrywali się zbiegowie. [...] Jeden z nich stanął przed wejściem do legowiska i bojąc się wpełznąć do środka wrzasnął: »Żydzi wychodzić!«. W norze panowała cisza. Policjanci kazali mi wejść do otworu. Wlazłem, co miałem robić, ale byłem pewny, że siedzą tam obydwaj. Kanał był niski i długi, miał pięć metrów. [...] Usłyszałem, jak jeden z policjantów doradził drugiemu: »Weź bagnet, to ten szczeniak będzie rozmawiał inaczej«. Bagnetu oprawca nie miał, ale wyciągnął z karabinu wycior, kazał mi się schylić i uderzył mnie na odlew kilka razy w tyłek. [...] Szperali nawet poza stodołą, byli też w oborze. [...] Kiedy odjechali, wszedłem do stodoły i zawołałem po imieniu. Zawołałem i oczom nie wierzyłem. Z sąsiedka, w którym byłem pewny, że nikogo nie ma, wyłazł spod słomy jeden z ukrywających się i powiedział, że drugi zdążył zbiec w pole. W pośpiechu zapomnieli o ukryciu kożucha i koca, za co tak boleśnie zapłaciłem”.

Wspomniana wcześniej skromność w wielu wypadkach kazała do końca utrzymywać fakt uratowania komuś życia w tajemnicy przed sąsiadami czy dalszą rodziną. Ale nie zawsze było to możliwe, czasem z powodu zupełnie niespodziewanego. Antoni Żal pamięta sytuację, która miała miejsce już po wyjściu ocalonych z kryjówki: „[...] sąsiedzi zawiadomili nas, że w uratowanej rodzinie żydowskiej jest mój kolega z gimnazjum. Udaliśmy się wszyscy do nowej kwatery rodziny Ledermanów. Nastąpiło powitanie i wielka radość, że koszmarne przeżycia się skończyły. Nie zauważyliśmy, że z nami przyszedł mały piesek o imieniu Pimpus, który był maskotką Ledermanów. Z wielką radością Pimpus witał się z nimi, skakał, szczekał, był wielce szczęśliwy, że znów może z nimi przebywać. Już wszyscy we wsi wiedzieli, że to rodzina Żalów ukrywała rodzinę żydowską”.

Ale nie każdy ratunek wiązał się z kryjówką. Wielką odwagą wykazała się Maria Sankowska. Jak mówi: „Ja sama o Danusi nie wiedziałam nic ponad to, że jest Żydówką. Celowo o nic nie pytałam. Myślałam, że tak będzie lepiej dla nas obu, dla naszego bezpieczeństwa. Tylko moja rodzina wiedziała o pochodzeniu Danusi. Jeśli ktoś wprost zapytał, stanowczo zaprzeczałam. Dla mnie to była tylko Danusia – koleżanka, przyjaciółka, siostra. Byłyśmy takie dwie sieroty. Nie chowałam jej w komórkach czy piwniczkach. Myślę, że naszym atutem była jawność. Dwie młode dziewczyny razem mieszkały, pracowały, ludzie po prostu przyzwyczaili się do nas. Nigdzie nie chodziliśmy bez potrzeby”.

Losy opisanych w książce ratujących i uratowanych po wojnie były różne, tak jak różne były dzieje Polaków i Żydów, którym udało się przetrwać lata okrutnej II wojny światowej. Trafili w różne rejony Polski i świata. Ratujący zamieszkali na ziemiach, które po latach miały wejść w skład województwa zachodniopomorskiego. Większość uratowanych opuściło kraj, swoją przyszłość łącząc z Izraelem, Stanami Zjednoczonymi czy Kanadą. Nie wszystkie przyjaźnie przetrwały próbę czasu. Na przykład uratowany przez Witalisa i Łucję Łukasiewiczów Roman Liebes przez wiele lat bał się wracać do przeszłości. Niektórym ów powrót jednak się udało, często w ostatniej chwili, by móc podziękować za czynny, za które nie ma zapłaty.



Antoni Żal